

**Wyszehrad plus, z karty pamięci
Widokówka z państw Czwórki Wyszehradzkiej,
plus Słowenia**

przełożyła Marta Cmiel

...na fali

Mogłabym pisać o polityce, tak jak zrobił to w „Romboidzie” Jan Štolba, czeski krytyk literacki, poeta i saksofonista. Na przykład o tej słoweńskiej Słowacy tak czy siak nic nie wiedzą, wszyscy natomiast (słusznie) przeczuwają, że Słowenia jest utadzonym, pilnym i pracowitym krajem z reprezentacją, której nie musimy się wstydić, nawet w towarzystwie zachodnich sióstr, o niewyobrażalnych możliwościach i wyjątkowej sieci autostrad. Wyróżnia się praktyczną (czytaj: łatwo ją nakleić i odkleić), jak również drogą nalepką dla użytkowników autostrad. Prawie nic nie wiadomo o coraz bardziej wszechogarniającym chaosie, nie tylko w gospodarce i sferze socjalnej, lecz także w związku ze słamszoną dywersyfikacją stanowisk oraz przodującą monopolizacją stanowisk decydenckich. Nic o niemal feudalnie funkcjonujących (czytaj: rodzinnych) związkach i przymierzach, które skazają tutejsze życie publiczne. Nic o końcu drugiej wojny światowej, masowych grobach, o ciężkiej drodze do pojednania jednych z drugimi. O „przeoczonych” Niesłoweńcach, którym dzięki biurokracji państwowej odebrane zostały ich własne życia. Ani o słoweńskich nazwiskach, których nie wypada pominąć i które tak jak komety ogon wloką za sobą nostalgię po megalomanii na miarę marszałka Tity: ci wyniosli, lancerscy i ludzcy zarazem.

Kiedy patrzę na dramat chilijskich górników, widzę przekonujący dowód rozległej niewiedzy. Gdyby posiadano, powiedzmy o trzeciej i czwartej kwestii poruszonej w moim „wstępnym podsumowaniu”, więcej wiedzy, Hollywood już dawno nakręciłoby film o malarce zachodnio-środkowo-południowo-wschodniej europejskiej republice, pełnej wielkich poszukiwań wrażeń, czynów i propozycji filmowych. (Ten uciążliwy przymiotnik dość realistycznie ilustruje portret własny Słoweńców po wystąpieniu z federacji Tity).

Mogłabym zacząć z innej beczki i zagarnąć coś z literackich soków i prądów, tak jak w „Romboidzie” zrobiła to czeska komparatystka Marie Iljašenko¹. Przy sobie, na sobie, w poprzek i na krzyż jeden drugiemu, ale też sami z siebie fermentują różne odmiany. Określone ekstrakty są butelkowane i skrzętnie oznaczone jako *Made in Slovenia* z powodzeniem są sprzedawane za granicą, a inni pozostają utopieni w beczkach

¹ Pisała o fenomenie nostalgii we współczesnej literaturze ukraińskiej.

i ich wartość (w ojczyźnie i na świecie) odkrywają tylko prawdziwi znawcy lub wiecznie niezadowoleni szperacze. Rynek wydawniczy popiera tę perwersję. Lubi wielkie nazwiska, jak Slavoj Žižek, Drago Jančar lub przynajmniej Aleš Debeljak, ten „nadmiar” go specjalnie nie interesuje. Ostatnio zetknęłam się z tym (pseudo)argumentem na Słowacji, chociaż miałam co zaoferować. Wspomniany wydawca nawet nie poprosił o tekst nieznannej słoweńskiej autorki, która w przyszłym roku będzie świętować siedemdziesiątą rocznicę (!), żeby go chociaż powąchać. Od niedawna gram z wydawcami na Słowacji, a także w Słowenii w dość ciekawą grę. Wygląda jak szachy, ale to nie są szachy. Chodzi o pewien szczególny rodzaj „kulturalnego kanibalizmu”, jeśli pozostaniemy przy metaforach pochodzących z natury. „Kto kogo pożre albo przechrzty?” brzmi podstawowe pytanie. *Memento*, dla mnie, jako (współ)wydawcy także.

Zatem dobrałam się do swojego telefonu i popatrzyłam mu w zęby, tudzież w jego kartę pamięci, żeby zorientować się, jakie chwile zapisałam w nim w ostatnich tygodniach. I już przez to podniosłam rangę do przeżycia dnia, czy po prostu, mocnego wrażenia. Może taki zabieg będzie również łatwiej strawny dla czytelników, bez zbędnych szczegółów historycznych, niepokojących powiązań czy komentarzy pod adresem tych, którzy znaleźli się po przeciwnej stronie – zresztą, oczywiście neutralnego (?) – spektrum zainteresowań. Dla mnie z pewnością, w końcu, od kiedy dostałam telefon z lepszym aparatem fotograficznym, fotografuję tylko bezsensowne rzeczy. No, twory ludzkiego rozumu, rąk i natury, a może nawet ducha?, które wnoszą do mojego życia więcej radości, ciepła i dobrego samopoczucia. Strategia jest jasna: nie umrzeć.

Zdjęcia z Peczu

I gdy zerknę na swój przenośny wyświetlacz, wszystko zaczęło się 1 października 2010 roku w Peczu zdjęciem (byłego) meczetu, który ekumenicznie skrzyżował się z katolickim domem bożym. Na jego kopule sięga nieba półksiężyc, w ciasnym objęciu z krzyżem. Przed kościołem stoi czerwoną farbą uwydatniona „zewnątrzna” dzwonnica (takie zazwyczaj znajdują się w greckokatolickich kościołkach), a także – równie czerwony – zupełnie nowy znak drogowy z zakazem ruchu, który jakby zwracał uwagę na coś istotnego, co znów wymyka się naszej uwadze i postrzeganiu – i temu nie nadam teraz ostatecznego znaczenia. Lubię ten katolicki meczet, symbol wielokulturowego i monoteistycznego, lub, wedle życzenia, jednookiego (▲) Peczu, choć tutejszym urzędom i – o cudzie – budapesztańskim architektom udało się plac Széchenyi przed meczetem nie tylko zrekonstruować, ale co więcej przede wszystkim wydatnie zdekonstruować. A mianowicie okraść z jego dotychczasowej niepowtarzalności. Nowy wizerunek tego akropolu podoba się mało któremu mieszczaninowi. Co więcej, zimą niewątpliwie zmieni się w najdroższe z budowanych za pieniądze podatników Unii Europejskiej lodowisko. Przyjaźnie pochylony nad równiną z boleśnie bielącymi się schodami na jej dolnym skraju...

Na kolejnej fotografii z telefonu komórkowego znajdują trzy damy w kapeluszach i długich spódnicach oraz dwóch mężczyzn; jednego z brodą, drugiego z wąsami. Rodzinę Zsolnayowów (piracko sfotografowaną ze starej fotografii w muzeum), która założyła w tym mieście fabrykę porcelany i ceramiki. I przed ponad stu laty wynalazła wyjątkowe barwne szkliwa; w branży są nadal cenione. Stały się one węgierskim skarbem narodowym, który (w sensie technologicznym) podlega ścisłej tajemnicy. Robiłam zdjęcia niektórym eksponatom w witrynach, ich zdobieniom i powabnym kształtom, które potrafią zauroczyć – ale nie było to przemysłowe szpiegostwo, tylko estetyczny zachwyt. Z całego świata pozbiierał je zafascynowany kolekcjoner, który niedawno sprzedał połowę swoich zbiorów, a drugą podarował miastu Pecz. Wazy z arystokratycznych salonów, liczne z nich malowane w japońskie wzory, czasze o kształcie roślin, ceramika i rzeźby z ludowymi, także humorystycznymi motywami, secesyjne porcelanowe obrazy, tudzież tace przeznaczone do wieszania, naczynia z „insygniami” umieszczonymi na białej porcelanie, z dwoma płaszcami lub z koronkowym wzorem, niektóre już niedbale kiczowate... i jeszcze pięćdziesięciolitrowa, bogato zdobiona porcelanowa manierka, po słowacku *čútor*, w mowie potocznej też *ploskačka* lub *tlapa*, która po węgiersku nazywana jest *czutora*. W ten sposób znika więc moje poczucie bezpieczeństwa językowego! I moje przekonanie o źródłowym, wyjątkowym pochodzeniu niektórych słowackich słów, nie tylko tych. To samo dotyczy słoweńskich, czeskich lub – na ile mogę to ocenić – tych typowo węgierskich.

Rodzina Zsolnayewów ma jeszcze jedną zasługę; zatroszczyła się o (przyszłe) lokum kultury alternatywnej w Pecz, może nawet niektórych bardziej komercyjnych usług i hoteli. Opuszczony i długo zaniewany budynek fabryki, a nawet cały kompleks pofabrycznych budynków, włącznie z kryptą Zsolnayewów, stały się obiektem jeszcze jednej ogromnej rekonstrukcji. A te obecnie mnożą się w Pecz, przede wszystkim dzięki mianu Pecz 2010 – *europaeska stolica kulture*. Oczywiście cieszę się... świat będzie znów piękniejszy i lepszy albo przynajmniej bardziej zadbany. Mimo to muszę zadać sobie pytanie, czy naprawdę kultura materialna musi wciąż triumfalnie zwyciężać tę niematerialną, nawet przy takich wyjątkowych okazjach. Europejska logistyka kulturalna zmienia się bowiem wprost na naszych oczach w zręczną *lobbystykę*, jest przykrywką dla interesów wysoko mierzących grup rządzących i deweloperów, zbyt często natomiast zapomina o interesach prawdziwych, co prawda coraz bardziej undergroundowych, elit kulturalnych, które niejednokrotnie i coraz bardziej ochoczo mieszkają w becze, tudzież żyją na dobrowolnym wygnaniu ze społeczeństwa, tak jak niegdyś Diogenes z Synopy. (Showbiznesu, kulturalnego mainstreamu i establishmentu te rozważania oczywiście nie dotyczą.) Czy podobnego obrazu nie ujrzymy również w Tallinie, Turku, Mariborze czy Koszycach...? Czyżby „żywa” kultura była tak słaba, zubożała i godna wzgardy, że zawsze wisi na ogonie każdego interesu publicznego? Nawiasem mówiąc, eksponujemy ją także w podtytule naszego czasopisma. Jako czasopismo od początku trudzimy się, żeby *przebić się do żywej kulture*, jednak nie tylko słoweńska, lecz także europejska (ponad)narodowa i inne unoszące się nad ziemią struktury nie chcą nawet o niej słyszeć.

A fundusze przydzielane są tym najsilniejszym („ekonomicznym administratorom kultury” i jej profesjonalnym „producentom”), którzy potem rozdzielają je pomiędzy totalnie najlepszych menedżerów kultury, a ci znów je rozdzielają pomiędzy najbardziej elastycznych... krótko mówiąc, tych, którzy są najbardziej gotowi momentalnie opuścić nieprzynoszący zysków teren wyjątkowo kulturalnych aspiracji, by przejść na lepiej opłacalne „zarządzanie produkcją” i podporządkować się mu. Nie mówię teraz o Peczu, próbuję zdiagnozować obecną sytuację w kulturze, której postępowaniem nie jest, zdaje się, pogonić za zyskiem. „Kiedy nic nie robi, tak naprawdę robi najwięcej” zdradził swoje myśli o artyście (i sobie) Leonard Bernstein w filmie dokumentalnym *Refleksje*. Artysta żyje mianowicie w świecie własnych znaczeń (dźwięków) i obrazów, całym swoim istnieniem wywiera nacisk na jego niepowtarzalną budowę i wewnętrzną morfologię – i nie targuje się o cenę. Warto to przemyśleć, przyjaciele!

Zdjęcia z Warszawy

Rozsądniej będzie przejść do kolejnych obrazów z karty pamięci. Z polityką na wysokim szczeblu nie mają nic wspólnego, utrzymałam je przed jakimś tygodniem w prywatnym muzeum sztuki ludowej w Otrębusach, niedaleko Warszawy. Emerytowany, dziś już osiemdziesięcioletni profesor etnologii pokazał nam swoje dwie ręce, którymi, co chętnie podkreśla, zbudował swój mały dom z wielkim pawilonem wystawienniczym. Z pomocą brata, żony, potem córki i syna. Zaprezentował nam te najdrogocenniejsze obiekty ze swoich zbiorów i podarował pakiet katalogów, które świadczą o żwawym przemieszczaniu się eksponatów pomiędzy różnymi wystawami w Polsce i na świecie. Wszystkie fotograficzne portrety Pana Mariana są bez wyjątku zamglone; z taką ogromną pasją opowiadał o swojej wielkiej namiętności, o sztuce ludowej. Z jego mobilnością nie mógł konkurować nawet mój przenośny telefon. Dla garstki ciekawych świata pisarzy i pisarek stał się, nic złego nie przeczuwając, być może najciekawszym „eksponatem” z całej kolekcji. Nawiasem mówiąc, temperatura powietrza w pawilonie nie przekraczała pięciu stopni i w niezwykłym towarzystwie artystów ludowych od Bałtyku po Karpaty przeżyliśmy ponad dwie godziny. Wszyscyśmy to odkichali i odlulali w rosyjskiej Babooshe, gdzie czekał nas wymieniony, a przede wszystkim ciepły obiad.

Z tej serii fotografii – oprócz „kleksów” pana profesora – wyróżniają się krzyże, które przez swoje bogate malowidła tu i ówdzie nie dają się odróżnić od słoweńskich uli, jednak są też mroczne. Chrystusowie z Golgoty, z głową ukrytą w dłoniach, uwiecznieni na chwilę przed ukrzyżowaniem i rozmyślający o swoim nieludzkim losie. Jak się dowiedzieliśmy, ten motyw w tradycji polskiego rzeźbiarstwa ludowego jest gatunkowo unikalny. Drewniany ołtarz-zagadka, który w swoim wnętrzu skrywa sceny z Nowego i Starego Testamentu, swoimi rozpiętymi skrzydłami musi wprawiać w osłupienie każdego z odwiedzających. To samo można powiedzieć o obrazach namalowanych przez umysłowo chorych ludzi. Aż kipią od barw, dynamiki kompozycji, niektóre także od erotyki. Ludzie na tych obrazach mają największe oczy na świecie. Kolekcja związana jest też

z osobistym zaangażowaniem byłej polskiej pierwszej damy, Marii Kaczyńskiej; jej fotografie są rozwieszane po całym muzeum. Nie da się nie zauważyć także zdjęć, które charakteryzuje szczególny, jednak sympatyczny eklektyzm! Na pewnej naiwnej podobiznie Hitler robi gwiazdę, nadziany na widły polskiego chłopca, na innej anonimowy polski bogatyra na koniu kopiąc dźga nazistowską hydrę. Sceny z historii dawnej mieszają się z ikonografią chrześcijańską. Mała drewniana rzeźba przedstawia ukrzyżowanego polskiego żołnierza z drugiej wojny światowej, Marii i Chrystusowi pod krzyżem czerwieni się serca jak dwa przejrzałe jabłka. Druga rzeźba w drewnie przedstawia dzieci z warszawskiego getta żydowskiego pod obroną wychudłej Marii Dziewicy z mikroskopijnym Jezuskiem w ramionach. Wiele elementów miesza się tu ze sobą, nad wszystkim tym czuwa – jeśli mogę się wesprzeć skrótem myślowym *ad hoc* – *twarz innego Lévinasa*, która nam ostatecznie nie pozwala, żebyśmy stawali się zbyt obcy sobie samym.

Z muzeum Pokropków wyszliśmy obrócenie o kilka stopni bardziej w stronę Wschodu. Zachodni dyskurs, osnuty na sceptycyzmie i krytycyzmie, rozprysł się, dotykając ludzkiego cierpienia i przezwyciężania trudności przy pomocy autentycznego gestu suwerennego, lecz skromnego, często również ograniczonego czy niepełnosprawnego twórcy. (Czy wiecie, że liczni rzeźbiarze pochodzący z ludu byli głusi lub głuchoniemi?)

W drodze do celu rozmawialiśmy z Danielem Pastirčakiem, nie tylko pisarzem, lecz także proboszczem i niesfornie prowokacyjnym kaznodzieją ze Słowacji, o związkach małżeńskich bez nadziei. Wracając zaś – o tych, którym udało się zwalczyć swój cień dzięki temu, że mężowie posłuchali się swoich żon i odwrotnie. A Daniel wie, co mówi. W domu mam nawet podręcznik, który napisał... Pewnie się kiedyś do niego dokopię.

Zdjęcia z Lublany

Ramy pierwszej i drugiej serii zdjęć stanowią fotografie ze Słowenii. Babie lato i nadchodząca jesień nakłoniły mnie do wyjścia z domu z zamiarem fotografowania natury. Właściwie znów tylko jej wzorów, struktur i kształtów, scenerii przy jakiegokolwiek pogodzie i na każdą pogodę. „To, co najlepsze, to nie stworzenie człowieka”. Coś takiego napisał przedwcześnie zmarły pisarz Honza Balabán i moje zdjęcia tę gnomę – przy określonym punkcie widzenia – potwierdzają. Ciche zakątki z dyniami, kamieniami, kwieciami i listowiem, ale też dramatyczne przemiany niespokojnego krajobrazu. Postacie i jabłonie, ginące we mgle, postrzępione brzegi milczącej realności, jakby z krańca świata. Życie, które wylania się z połyskującego cienia i z powrotem się w niego zanurza, jakby było jego częścią. Z Prymulką wspięliśmy się na Świętą Katarzynę, przeszliśmy przez wąwóz Topola i nie wierzyliśmy własnym oczom. Skąpe słońce pobłyskiwało tylko w jednym punkcie naszej trasy spaceru – na cmentarzu pod kościołem, kiedy zaczęliśmy czytać nazwiska już dawno zmarłych – i pośłało nam mocny odbłask ze złotych tablic na grobach wprost do oczu. Fotografując zestarzałe (stuletnie?) pajęczyny z kropelkami mgły, skroplonej i schwytej na ich włóknach, zdałam sobie sprawę, skąd wzięło się koronkarstwo, sztuka pleceni i tkania. I z tego, jak kobieca zaradność łączy się z naturą i jej (re)kultywacją w samej kolebce ludzkiej cywilizacji. Ale w Polsce niestosownie jest

używać słowa *čipka*. W Słowenii słowackiego słowa *fúkať*. Na Węgrzech woleliśmy unikać dwuznaczności. Co w Czechach, dowcipnie, wynagrodziliśmy sobie. Między innymi przy pomocy *pirackiej partii* młodej europostanki ze Szwecji, która cały czas sprawiała wrażenie, jakby nie była całkiem przy zdrowych zmysłach. Mimo tego w Bastylii, ostrawskim Irish Pubie (!), podeszła do nas przywitać się, razem ze swoją ekipą, a następnego dnia pojawiła się nawet na naszym wieczorze literackim. Przyszła później, przecisnęła się obok rządu ludzi aż do ściany, po dziesięciu minutach wstała, znów przecisnęła się przez cały rząd i zniknęła. Musiała zdążyć na jakiś ekspresowy pociąg do Pragi – uzyskaliśmy wyjaśnienie od długowłosych morawskich przedstawicieli jej sztabu. Wyglądało na to, że europostankę najbardziej przyciągnęła projekcja haiku-komiksów na ekranie za naszymi plecami. Sedno jej kampanii umknęło nam co prawda, lecz tym bardziej ożywione były debaty o domysłach.

Fragmenty z Ostrawy

Następne pytanie mogłoby zatem brzmieć następująco: a co z Morawami? Jaki ślad pozostawiły po sobie w moim telefonie?

Nic. Konto było puste i telefon (przez pomyłkę) pozostał w hotelowym pokoju. Hałdę² ostrawską, na którą zaciągnął nas muzyk Jiří Macháček, mam zatem tylko w swoich miłych wspomnieniach. Jej zbocza, gęsto porośnięte fioletoowymi koniczynami i szczyt, który niknął wśród pni białych brzoź. Zrobiło mi się gorąco, jakbym paliła koks. Wciągnęliśmy trochę dymu, z góry popatrzyliśmy na gaj rozciągający się za łuną i ruszyliśmy do antykwariatu Fiducia, który gościł nas w swoich podziemiach. I nie tylko nas, również poetę Karla Šiktanca; w Ostrawie nie widziano go od ponad pięćdziesięciu lat. Ponownie zwabiła go dopiero świeżo upieczona monografia pod tytułem *Někde tady (Gdzieś tu)*, którą o poezji Šiktanca napisał jeszcze jeden czeski poeta, a jednocześnie naukowiec – mimo tego, że pisanie o poezji uznaje za zuchwałość (zatem jest nas więcej). Postmodernistyczno-potocznie-komercyjny, oczywiście słowacki anagram jego imienia mógłby brzmieć Kapeš Hurt® – kontynuując gry obu monograficznie i poetycko pokrewnych poetów. Ostrawa ochrzciła monografię jak się należy: wieczorem literackim, wzruszającym śpiewem, piwem-winem-Jackiem Danielsem w *hospodě U Rady*, ogólnostowiańskim brataniem się aż do „świt, Boże, świtu”³. Co prawda trojgu spośród nas zaświtało już trochę wcześniej, kiedy zorientowaliśmy się, że klucze do naszych pokoi pozostały, bez jakiegokolwiek poprzedniego ostrzeżenia o zasuwce, w recepcji, także musieliśmy sobie w hotelu Best (!) pościelić na podłodze jadalni dla niepalących, a przykryliśmy się gładko wyprasowanymi obrusami...

² *Hałda* to sztuczne wzgórze usypane z odpadów pochodzących z kopalni. Niektóre hałdy mają nawet swoje imiona. Najbardziej znana jest hałda Ema, której wewnątrz jest rozpalone do wysokiej temperatury, dlatego dymi się, jej wierzchołka nigdy nie pokrywa śnieg i jest porośnięta charakterystyczną stepową roślinnością. Ulubiony cel turystyczny mieszkańców Ostrawy.

³ „Dnieje, mój Boże, dnieje”. Chodzi o fragment tekstu słowackiej pieśni ludowej.

Po dzikim trójkacie, inaczej mówiąc, po kolektywnie przeżytej nocy, czekała nas podróż do Bratysławy, w czasie której pogrążyliśmy się w debacie o poezji słowackich autorów i autorów, którzy są od nas młodszy przynajmniej o jedno pokolenie. To, cośmy (jeszcze po czeskiej stronie A2) *vykoumali*, nie wprawiło nas w dobry nastrój. Jednak dodało nam skrzydeł to, że wszyscy troje, nie tylko podróżni, lecz także poeci, uzgodniliśmy, co następuje: poezja nie może przetrwać, jeśli nie chodzi w niej o wszystko. Jeśli w niej i przez nią człowiek boi się (kulturowo) obnażyć i (ludzko) uobecnić. Jeśli słowo stanie się strzykawką do podawania narkotyku lub sztucznego jedzenia. Mikroskopijnym szkiełkiem z rozmazany preparatem. Pułapką dla czytelnika, wielokropkiem za niewypowiedzianym zdaniem, symulacją. Cedzeniem pozostałej śliny i obdukcją słów po najbardziej kruchy korzonek. Poezją unikającą poezji, żeby nie piekło. Swędziało. Pokopało. Poleciało...

... i wizualna dywersja (ze słowackiego Záhoria)

Oczywiście w czasie podróży po obszarze wyszehradzkim spotkały nas jeszcze inne ekstatyczne przeżycia, których karta nie ujawnia, tylko sugeruje. *Poświęta księżycowa* Primoža w wypchanym Trafficu; *arca* Wasyla – kreacja baletowa na rzecz popierania omdlewających w tańcu striptizerów; upieranie się Žanety, że jej pensjonat nazywa się *Nyirva* („tak jest napisane na drzwiach i tak też powiem taksówkarzowi”); trujące grzyby w Villány jako okazywanie szacunku Leszkowi, który przeżył antytotalitarną profesurę i totalitarne więzienie; podejrzana bladeść Nory nad szambem polskiego hotelowego raję; „kamienie” Ilbora i jeszcze raz „kamienie” (dość już było czarnych diagnoz!)... czy czerwona... ech, panika Yvette na progu doświadczenia, którą wyrzuciła z siebie z pomocą *drumbli*⁴. A dokładniej – stroika.

Nic z tego nie istnieje na karcie pamięci. I na fotografii ze Słowacji również przyjdzie kolej później, poświęcałam bowiem czas innym „przeżytkom”, kiedy ostro próbowałam rozwiązać terminologię związaną z produkcją wódki. Do tego zamiaru przywiódł mnie tekst Bredy Smolnikar, w którym autorka grozi nam, że już nie będzie pisała i w ten sposób uczci swoje siedemdziesiąte. (Tak, dokładnie ten tekst, z powodu którego autorka musiała przez osiem lat wygrzewać ławki słoweńskich sądów!)

Przechodząc do konkretów: to, co przy destylacji najpierw wycieka z każdego kotła destylacyjnego (kotła z przykrywką albo – po słowacku – z cylindrem, panowie!), po słoweńsku nazywamy *cvet* (*nango*, *luter*, *belina*), to, co wypłynie jako ostatnie, *patoka*. Ani pierwszego, ani drugiego nie dodajemy do dobrych alkoholi. Do czeskich ekwiwalentów słoweńskich wyrażałam się bez problemu. W Czechach to pierwsze nazywają *úkap* lub *lutr*, drugie *dokap* albo *přiboudlina*. Tylko w słowackim długo, długo natykałam się na bardziej profesjonalne nazwy: *metanol*, tudzież *drevný lieh*, a to, co wycieka na końcu: *vyššie alkoholy* i *estery*, i *vodíkové oleje*. Ojoj, do tłumaczenia literatury zupełnie bezużyteczne. Dopóki nagle nie ołsnął mnie Internet, i o to chodziło:

⁴ Słabo rozpowszechniony, lecz charakterystyczny dla słowackiej muzyki ludowej, drobnutki instrument muzyczny, który wydaje dźwięk dopiero za pomocą oddechu muzyka i brzdąkania o wystającą część instrumentu.

*hlava i chvost. Głowa – ogon. Dokładnie tak brzmi słowacka ludowa nazwa dla „pierwszej i trzeciej frakcji destylatu”. I tym, co pijemy ku uciesze swojej, jak i naszego otoczenia, jest jego *ciało*, tudzież *jądro*. Jakie pochodzenie językowe! Słowacy jeszcze nigdy nie rozczarowali mnie swoim poczuciem humoru. Jeszcze wciąż czuję się tu jak w domu... z całą czwórka wyszehradzką włącznie. I plus, oczywiście.*

(Dolenjske Toplice, 20 października 2010 roku)

Na stronie www.tekstualia.pl publikujemy rozmowę (w tłumaczeniu Marty Cmiel) ze Stanislavą i Primožem Reparami na dziesięciolecie „Czasopisma w czasopiśmie” przeprowadzonej przez Mirosława Mićanovicia dla czasopisma „TEMA” w 2011 roku.